



№ 53.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 30 grudnia 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Marta Walker-Cook (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Szewkie dziecko, powieść (dokończenie). — Ambulans polowy (drzeworyt). — Przegląd polityki zagranicznej. — Przegląd piśmienniczy. — Rysunki humorystyczne Franciszka Kostrzewskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Zdźbła i ździebka. — Kronika zagraniczna. — Młodzi Grecy w meczecie (drzeworyt). — Kopia gobelinowa krajobrazu Comte'a (drzeworyt). — W kościele (wiersz). — Rozmaitości. — Stefan Lawrence, powieść (dokończenie). — Spis rzeczy zawartych w tomie II seryi III Tygodnika ilustrowanego.

MARTA WALKER-COOK.

Niekiedy wśród bladego pochodu gwiazd, sunących po firmamencie utartymi tory, zjawia się meteor, co gardząc pospolitemi szlaki, tam bieży, kędy ogół gwiazd nie sięga, i rzuca światło w przestrzenie obleczone ciemnością. Podobne, a równie rzadkie zjawisko, spotykamy czasem i w ludzkim świecie, pomiędzy narodami przesiąkniętymi szowinizmem i arogancją, zatopionymi w materialnych widokach, modlącymi się do potęgi i dolara, gdzie jednostka każda

Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakręśla oczy.

Do meteorów ludzkich tego rodzaju należała pani Marta, z domu Walker, po mężu Cook, poetka, urodzona r. 1807 w Northumberland, w Pensylwanii, znana w Ameryce pod nazwiskiem podanym na wstępie do niniejszego szkicu.

Była ona córką znakomitego i zamoznego pioniera, w okolicy nad górną Suskwehaną, sędziego J. H. Walker'a. Alpejska ta prawie kolébka wczesnie napoiła czułą duszę dziewczęcia zamiłowaniem ku wszystkiemu, co piękne i szlachetne. Światła rodzina troskliwie pielęgnowała znakomite zdolności dziewczycy, tak iż wkrótce po wyjściu za mąż za pana Cook, młodego oficera, wykształconego w akademii West-Point, zasłynęła w Ameryce jako poetka. Mąż jej dosłużył się w krótkim czasie stopnia generała i przeniósł do stanu New Jersey, gdzie zdobył sobie wziętość i majątek, jako budowniczy pierwszych kolei amerykańskich.

Alé większą jeszcze od męża sławą okrył się brat jej, Robert Walker, który rzuciwszy się zamlódu w politykę, bystrością, wymową i prawością do takiego doszedł znaczenia w epoce Websterów, Clay'ów i innych wielkich Amerykanów, że

głos jego spowodował nominacją i wybór pana Polk na prezydenta rzeczypospolitej, oraz przyłączenie Teksasu do Stanów Zjednoczonych. Skutkiem tej aneksyi wybuchła wojna między Stanami i Meksykiem, podczas której i po niej, bo od roku 1845—1849, piastował pan Walker urząd ministra skarbu swojej ojczyzny z takim powodzeniem że koszt tej wojny i zdobycie Kalifornii, oraz innych niezmiernych przestrzeni, pokrył, bez narażenia narodu na podatki.

W roku 1857 mianował go prezydent Bucha-

nan gubernatorem Kansasu, prowincyi (territory) przekształconej podówczas na Stan udzielny (state). Operacja ta stała się rzeczywistym powodem późniejszej wojny domowej, albowiem Buchanan i plantatorowie południowi chcieli zaszczerpieć młodemu, z wolnych ludzi złożonemu społeczeństwu jad instytucyj niewolniczych. Gdy ludność Kansasu wręcz się sprzeciwiła tej hańbie, rząd federalny wcisnął jej bagnety i fałszowaniem wyniku jej głosowania piętno niewolnicze. Pan Walker, oburzony tym gwałtem, złożył swój rząd i porzucając stronnictwo demokratyczne, przyłączył się do jego przeciwników. Przykład ten zaraził miliony i był pobudką wyboru Lincoln, wojny domowej i usamowolnienia murzynów.

Robert Walker wrócił do zajęć zwykłego obywatela i trudnił się wydawaniem popularnego magazynu „Continental Monthly,” gdy go Lincoln wysłał do Londynu, jako ambasadora nadzwyczajnego. Porucząc swe pismo siostrze, udał się do Europy i wyjednał od kapitalistów angielskich pożyczkę 250 milionów dolarów, na korzyść Północy, przeszkodził zaś zawarciu pożyczki na korzyść Południa, nadając przez to potęgę plantatorskiej cios dotkliwszy, niż zwycięstwa Granta. Odtąd też nazwisko jego zajmuje trwale i zaszczytne miejsce w dziejach Ameryki i uwolnienia murzynów i jest tam czezone prawie na równi z imieniem męczennika Lincoln.

Milionowy majątek p. Walker a znikł w bankructwach kolejowych r. 1866, a weteran polityczny i mąż wnuki Benjamin Franklina, umarł r. 1869 w ubóstwie. Wspomniałem o nim, chcąc objaśnić czytelników wspomnień o jego siostrze, jak znakomite stanowisko ona i cała jej rodzina zajmowali w zaatlantyckim społeczeństwie.

Życie Marty upływało aż do roku 1849 w zwykłych zajęciach literatki i poetki nowoświatowej. W owym roku usłyszała po raz pierw-



Marta Walker-Cook.

SZEWCIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dokończenie.)

— O...—począł Józef protestować.

Mowy tej nie zrozumieli ani bohater nasz, ani Józef, ani Franio. Pan Tadeusz, zajęty nie-szczęciami, jakie spadły na niego, nie uważał i tylko się otrząpywał i obciagał; tamci zaś, ponieważ uważali, nie domyślali się do czego ona zmierza. Sama tylko panna Helena domyśliła się. Objaśniło się to na jej obliczu, na którym odbiło się coś; czego określić nie sposób, coś co zdradzało przyspieszenie bicia serca. Zrobiła gest taki, jakby mówić zamierzała, nie rzekła jednak słów-

— Ale... co?

— Zajęty jestem... zaangażowany... Nie miałem przez czas nieobecności Józefa swobody do pracowania; są zaległości, które muszę odrobić...

— Zachodzi jednak potrzeba odświeżenia umysłu...—pochwycił pan Krzysztof.—Zresztą w Orchowicach możesz mieć, jak wiesz, i czas i swobodę do pracy...

— A jedź—jedź...—wtrącił Józef.

— My wyjeżdżamy dziś, ty przybądź jutro, po-

go Trznadel odpoczywał, a Kaźmirz z panną Heleną ostatnią w pałacu miał rozmowę, znajdowali się hrabia, hrabina i pani Ewelina. Hrabina w zadumie głęboką głowę przechyliła; hrabia, siedząc z nogą na nogę założoną, list jakiś w rękę trzymał; pani Ewelina chodziła z oznakami niecierpliwości, którą powściągała.

— Cóż, papo?...—odezwała się wkońcu, zatrzymując się przed ojcem.—Cóż papa na to?... Hrabia ramionami ścisnął.

Hrabia ręką machnął i westchnął.

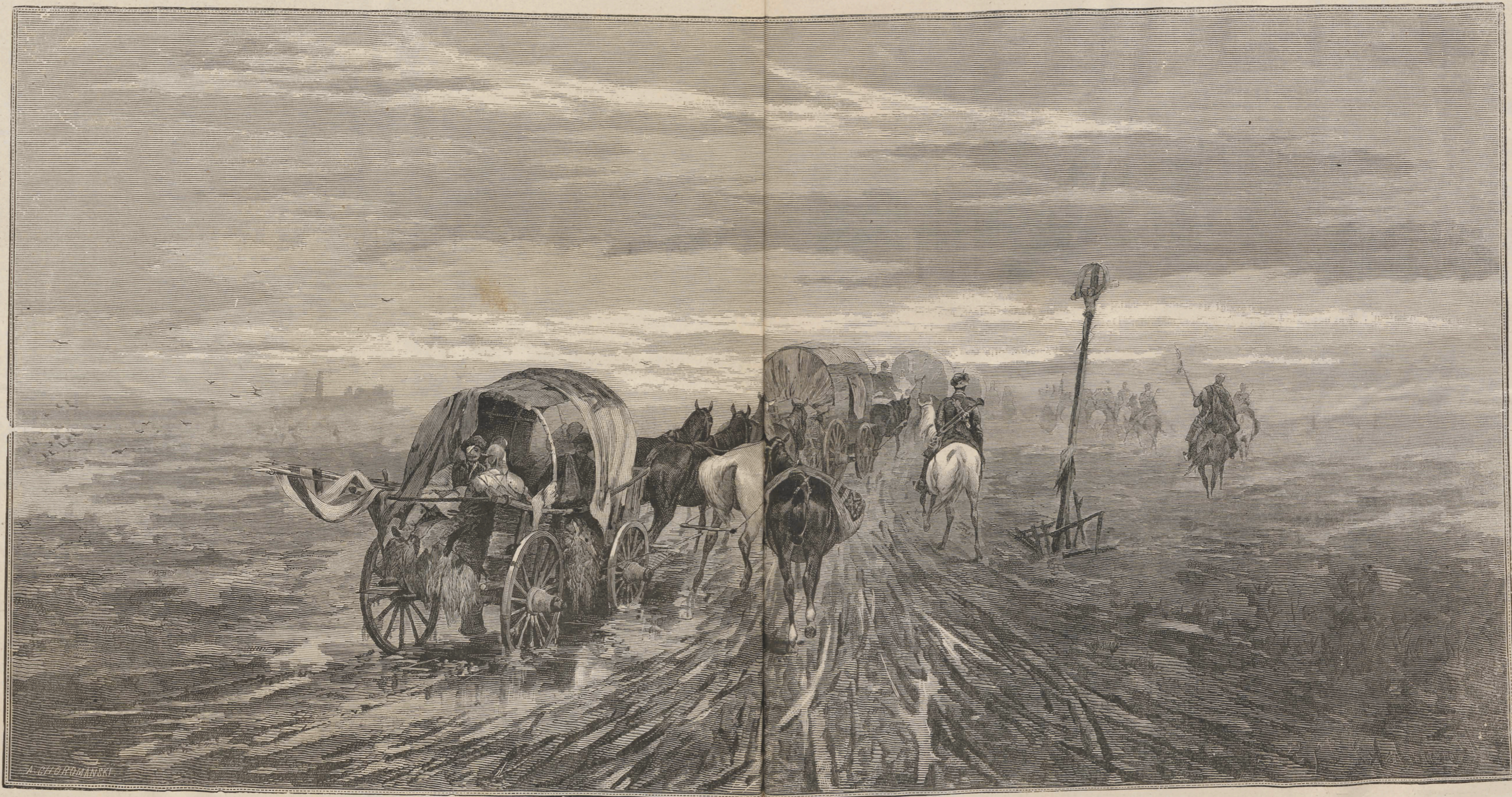
— Dla Helci partya bardzo stosowna i odpowiednia...

— Bardzo... — potwierdził hrabia z przyciskiem.

— Majątek znaczny, powaga, imię, wychowanie, a nadewszystko temperament... Tadeusz mógłby uszczęśliwić niejedną, a nie dopiero Helcię, której charakter wymaga w mężu względności, a nawet i do pewnego stopnia uległości... Jam

wi mnie nawet—dodała pani—że jej jeszcze nie-ma....

— Otrzymałaś list ten w jej nieobecności? Pani Ewelina dała odpowiedź potwierdzającą i chodziła dalej, zdradzając twarzą frasunek, stanowiący w chwili obecnej myślenia jej treść jedy-ną. W treść tę bohater nasz nie wchodził wcale. Pan Krzysztof, w liście wystosowanym do niej, upominał się o prawa i obowiązki ojca, we wzglę-dzie stanowienia o losie córki—znaczyło to że



Ambulans polowy. Kopia obrazu Alfreda Kowalskiego, zakupionego przez Towarzystwo sztuk pięknych we Lwowie.

— Dajmy temu pokój — rzekł pan Krzysztof.—Stoło się głupstwo, raźnie odbijające od rzeczy mądrzej i sumienniej, od posadzenia rzuconego na was.

Tu oczami na Józefa i Kaźmirza ukazał.

— Od posadzenia—ciągnął dalej—które o reparacy wola. Świat składa się z gawronów, mających zwyczaj chwycić słowa i krakać chórem. Należałoby więc, zdaniem moim, dać im do krakania słówko, zobowiązujące to, które z pałacu hrabiego Przesielskiego wyszło.

ka. Spojrzała tylko na Kaźmirza i spotkała się ze wzrokiem tego ostatniego. Oboje razem oczy spuścili i rumieńcem się okryli.

— No więc...—rzekł pan Krzysztof po chwili milczenia—rzecz się tak ułoży... Jedziemy do Orchowic, Helcia ze mną, i czekamy tam na przybycie twoje, panie Kaźmirzu... Spodziewam się, że nie każesz nam długo na siebie czekać...

Kaźmirz, wręcz zacepiony, zmieszał się nieco.

— Prawdziwie... —zaczął, bąkając.—Prawdziwie... byłoby mi najmiliej... ale...

jutrze... kiedy zechcesz...

— Już ja go wyprawię...—odezwał się Józef.

Kaźmirz wymawiać się nie mógł dłużej. Sta-nęło na tém, że pojedzie—dał słowo. Treść rozmowy zmieniła się i wkrótce potem niespodziani goście opuścili izdebkę kotlarza. Pan Krzysztof z Franiem odeszli piechotą. Panna Helena z panem Tadeuszem wsiedli do fiakra, który zawiózł ich do pałacu.

Wyprzedzmy tych ostatnich.

W saloniku tym samym, w którym czasu one-

— Nie przewiduje papa wybryku jakiego?

— Albo ja wiem!...

— Zagadkowy ton listu daje mi do myślenia... Pisze, że jako ojciec ma prawo i obowiązek zajmować się losem córki... Ja mu prawa tego nie zaprzeczam, tém bardziej że do niego należy wyposażenie Helci... Ale i ja, jako matka, także prawa jakieś posiadam...

— Niezawodnie... —wtrącił hrabia.

— Obawiam się więc, ażeby nie było czegoś napiętego... Ten biedny Tadeusz...

matka... moja powinnością jest myśleć o szczęściu córki... Nie chciałabym, ażeby Helcię spotkało, to co mnie... Bóg mnie wyraźnie pokarał za grzechy jakieś; niechże mnie i w niej jeszcze nie kara... Lękam się, żeby pan Krzysztof nie wybrał już dla niej kogo...

— Kogo, na przykład?...—zapytał hrabia.

— Gubię się w domysłach... Może jednak do-wiem się o tém czegoś od Helci samiej, która od-rana bawi w hotelu z ojcem, a wybierając się dziś do Orchowic, musi przybyćniebawem... Dzi-

zamyślał o wydaniu panny Heleny za mąż. Ważność kroku tego usuwała Kaźmirza z myśli pani Eweliny w dal niedojrzaną. Ani przypuszczała, ażeby on, chłopak ubogi, bez imienia, bez uznania, syn szewca z małego miasteczka i na do-bitek wszystkiego skompromitowany podejrze-niem w sprawie naszyjnika, mógł wchodzić do rachuby, odnoszącej się do wydania za mąż panny Orchowskiej. Nie obchodziło jej to bynaj-mniej, że rzucone na Kaźmirza podejrzenie oka-zać się mogło fałszywem. Było to dla niej бага-

pomimo że *vox populi* wydawał ją w roku każdym po razy kilka, nie za tego, to za innego, za Kaźmirza nawet. Zdaje się jednak, że wyjdzie w końcu z tego ostatniego, kochają się bowiem, a tylko—jakby to powiedzieć?—tylko, gdy są sam na sam ze sobą, zawiązują o rzeczach różnych i tym podobnych rozmowy tak zajmujące, iż na pogadankę o kochaniu brak im czasu, miejsca i sposobności. To jedno przeszkadza im „na ślubnym stanąć kobiercu,” co byłoby nastąpiło od dawien dawna, gdyby się był Kaźmirz z pierwszą wizytą o miesiąc cały nie spóźnił. Spóźnił się—nie z winy jednak własnej. Okoliczności się tak fatalnie złożyły. Gdy Kaźmirz, po odejściu gości od Józefa, do mieszkania swego powrócił, zastał w domu na Bocianiej ruch niezwykle, który go zastanowił. Pan Jędrzej kręcił się zafrasowany wielce; baby jakieś nieznanne to wchodziły, to wychodziły; po stronie pani Jędrzejowej odzywały się kiedy niekiedy okrzyki, westchnienia i stękania ciężkie. Cóż to znaczyło? Pani Jędrzejowa wyszła z biura sędziego śledczego zirytowana srodze, zirytowana tak dalece, że iść nie mogła, wzięła pojazd i wieść się kazala nie na Stary rynek, pod Fijołką, lecz na Bocianią, do domu. Nie zdarzyło się to od czasów niepamiętnych, ażeby ona pomiędzy piątą rano a jedenastą wieczorem znajdowała się nie pod Fijołką. Kiedy się pojawiła we furcie, Jędrzej przeżegnał się najprzód ręką prawą, następnie lewą i zawołał:

— Wszelki duch!
Zawołał następnie:
— Nieszczęście!
— Och! była pani Jędrzejowej odpowiedź.
— Po doktora!
— Bodajes się z doktorem skręcił! Och! o! po cyrulika! krew!...

Pan Jędrzej skamieniał, patrząc na połowicę swoją, wyglądającą fioletowo. Kolory Fijołka na twarz jej wystąpiły. Skamieniał. Po chwili rzucił się, poskoczył, wiadro z wodą porwał i wodą na nią lunął.

— Co robisz? — wrzasnęła. — Jezus, Marya, Józefie święty! krew!

Jędrzej rydel żelazny porwał i zamachnął się w sposób taki, jakby ją ciąć przez łeb zamierzał.

— Aa!...—krzyknęła—gwałtu!... zabije!

Na krzyk ten wyskoczył Kaźmirz i, rozpoznawszy że pan Jędrzej głowę stracił, a pani Jędrzejowa znajduje się w stanie apoplektycznym, wymagającym ratunku jaknajspieszniejszego, zajął się tą ostatnią z troskliwością całą, na jaką zdobyć się zdołał. Zaprowadził babę do izby, rozebrał z odzieży przemokłej i do łóżka położył. Za jego staraniem przywołany lekarz przepisał środki stosowne. Sasiadki się zbiegły, po to jednak tylko, ażeby się gapić, wzdychać i głowami kiwać. Kaźmirz chorą doglądał i obsługiwał, nie odstępując jej ani w dzień, ani w nocy. To stało się powodem zwłoki w pojechaniu do Orchowic. Naprózno Józef przypominał i nalegał:

— Jedź.
— Kobięta chora i sama jedna — odpowiadał Kaźmirz. — Niech-no podzdrowieje.

Podzdrowienie atoli nie przychodziło. Zdarzały się tylko momenta przytomności, w których pani Jędrzejowa ręce do Kaźmirza składała, błagając go, ażeby jej nie odstępował.

— Bo i co ja pocznę! co pocznę! — mówiła. — Och! ja nieszczęśliwa. Trucicielka!

W umyśle jej tkwił zarzut Onufrego Trznadła.

Kazała przywołać notariusza i podyktowała mu, pod pieczęcią tajemnicy, wolę swoją ostatnią. Borukała się ze śmiercią tygodni kilka, aż w końcu uległa. Skonała w oczach Kaźmirza, którego w testamencie wyznaczyła spadkobiercą swoim uniwersalnym, pod warunkiem, ażeby utrzymywał i dalej prowadził garkuchnię pod Fijołką. Bohatér nasz warunkiem tego, ku wielkiemu zdumieniu ogółu, nie przyjął, przez co majątek z rąk wypuścił. Perswadowano mu, doradzano sposoby różne, ale przekonać się nie dał i pozostał przy pracy, która z dniem niemal każdym coraz to bardziej na widowinę go wyprowadzała.

Bohatér nasz idzie w górę. Opracowania jego zyskują na wziętości. Przebija się powoli, przetworuje sobie w świecie drogę swoją własną i raz, niekiedy dwa razy na rok zagląda do Orchowic, gdzie go zawsze z otwartymi przyjmują ramiony. Ze się na tém skończy, iż zostanie panny Heleny małżonkiem, to wątpliwości nie ulega. Co do mnie, jestem o tém mocno przekonany i temu się tylko dziwię, dlaczego to nie nastąpiło jeszcze. Nie podzielam tu zdania tych, którzy utrzymują, że panna Helena, acz dobrze wychowana, rozumna i od przesądów wszelakich wolna, waha się jednakże z oddaniem ręki swojej szewekiemu dziecku. Czemż ręki swojej nie odda komu innemu?

Przegląd polityki zagranicznej.

29 grudnia.

Po kilkodziuowej przerwie świątecznej, telegraf zasypał nas depeszami ze Wschodu. Na nieszczęście, pomimo tego mnóstwa telegramów, nie można z nich wyciągnąć stanowczego wniosku, po przestaniemu przeto na streszczeniu nadesłanych nam wiadomości. A najprzód, pierwsze posiedzenie konferencji odbyło się istotnie w d. 23 b. m. Na prezesa powołano, zgodnie ze zwyczajami przyjętymi w dyplomacji, Savfeta baszę, ministra spraw zagranicznych Turcji, na sekretarzy zaś p. de Mony i Kara Serbusa efendego. Prezes oznajmił, że rząd turecki ogłosił konstytucyjną; następnie odczytano streszczenie prac przedkonferencyjnych, przyczém Savfet basza oświadczył, że weźmie je do przejrzenia, i na tém posiedzenie zakończone zostało. Projekt przedłużenia rozejmu na dłużej odłożono do następnego posiedzenia, t. j. do d. 28 b. m. Widziemy tedy, że tak niecierpliwie oczekiwane zebranie się konferencji nie zadowala ogólnej ciekawości i nie uspakaja obaw. Owszem, fakt ogłoszenia konstytucyjnej przyjęto powszechnie za oznakę usposobienia wojennego ze strony Turcji. Wywołało to w prasie niepokój; jeżeli bowiem Turcja zechce się zastawiać nową ustawą, to prawdopodobnie odrzuci rękojmie reform, jakich domagają się od niej mocarstwa. Ztąd dwa prądy w opinii publicznej, a raczej dwa obozy, z których jeden głosi bezwarunkową wojnę, drugi stale wierzy w możliwość porozumienia się i pokojowego załatwienia bieżących spraw Wschodu. Należymy do drugiego obozu i przypuszczamy, że przy szczerze pokojowym usposobieniu rządu angielskiego, porozumienie się z Turcją w głównych punktach jest możliwe. Idzie więc o to tylko, czy Anglia istotnie chce zgody, w tym bowiem razie Turcja nie ośmieli się sprzeciwić do ostatka, a mocarstwa ustąpią także nieco ze swych żądań. W każdym razie, w obec ogłoszonej już ustawy przez rząd turecki, obmyślenie rękojmi reform nader jest utrudnionem i wywoła długie a ożywione w łonie konferencji rozprawy.

Według telegramów stambulskich, ułożona przez radę ministrów ustawa podobną jest w głównych swych zasadach do wszelkich innych konstytucyjnych ustaw, z trudnością atoli wykonaną zostanie. Jakoż w rzeczy samej, czy można przypuścić aby senat i izba deputowanych, złożona z posłów przeważnie mahometańskich, zdolną była do wymierzania sprawiedliwości chrześcianom? Gdyby zresztą i tak było, któż dopilnuje, aby uchwały izb uszanowane zostały i wykonane po prowincjach, w których, bądź co bądź, żywioł turecki niewątpliwie mieć będzie w administracji i sądach przewagę? Uważamy przeto konstytucyjną turecką za pobożne życzenie i nie zdziwimy się wcale, dowiadując się, że mocarstwa uznają dzieło to za niedostateczną rękojmię pokoju na półwyspie bałkańskim.

W Białogrodzie od dni kilku panuje przesilenie ministerjalne, nikt bowiem nie czuje się na

siłach zastąpienia Risticza. Mówiono o p. Marynowiczu, naczelniku stronnictwa zachowawczego, lecz i ta kombinacja do ostatniej chwili żadnego nie doznała powodzenia. Rzecz to zresztą małej wagi, jeżeli zaś dzienniki szeroko się o niej rozpisyją, to jedynie z tego względu, że przesilenie wywołane zostało w skutek zajścia z rządem austro-węgierskim, z czego wnoszono, że zajście to doprowadzić może Serbię do okupacji austriackiej. Ostatnie telegramy belgradzkie dowodzą, że przypuszczenie to było mylne, rząd bowiem serbski zadośćuczynił żądaniom Austrii, powitał jej flagę 21 wystrzałami i załatwił spór w przeciągu 48 godzin.

Z Nowego Yorku nadeszły niektóre szczegóły o przebiegu wojny domowej w Meksyku. O ile sądzić można z lakonicznej treści telegramu, prawowity prezydent, p. Lerdo di Tejada, istotnie ujętym został przez powstańców, lecz ani on sam, ani jego ministrowie nie byli rozstrzelani, jak to przed kilku dniami głośzono. Obecnie Meksyk znajduje się w rękach dwóch powstańczych, lecz wrogich sobie dowódców, Iglesiasa i Diaza. Pierwszy posiada podobno 12,000 wojska i zajmuje 11 Stanów, ze stolicą Queretaro, drugi (t. j. Diaz) ma 15,000 żołnierzy i panuje w Meksyku, Puebli, Vera Cruz i Oaxacu. W ostatnich dniach zeszłego miesiąca Diaz wyruszył w pole przeciw Iglesiasowi.

OSTATNIE TELEGRAMY. *Konstantynopol, 26 grudnia.* Wielki wezyr (Midat basza) nie odrzuca wprost kwestyi rękojmi i urzędzenia obecnej zandarmeryi. Salisbury widział się z sultanem i oświadczył mu, iż mocarstwa domagają się przyjęcia żądań konferencji. Jeżeli żądania te odrzucone zostaną, wszyscy ambasadorowie opuszczą Konstantynopol.

Konstantynopol, 27 grudnia. Agencja Havas donosi: Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Porta nie odrzuci propozycji mocarstw. Pomimo licznego stronnictwa wojennego między Turkami, porozumienie się jest możliwe. Pełnomocnikom mocarstw chodzi o zasady, a nie o szczegóły, silne więc czynią zabiegi, aby nie dopuścić zerwania. Podobno audyencja Salisburego u sultana *wpłynęła pomyślnie na Turcyę.*

Bruksella, 27 grudnia. Indep. Bel. twierdzi, że na poufne wiadomości rząd belgijski odpowiedział, iż nie odrzuci wręcz propozycji w kwestyi zajęcia prowincji tureckich, lecz żądać będzie rękojmi moralnych i finansowych. Ind. Bel. sądzi, że mocarstwa nie zechcą udzielić rękojmi tego rodzaju.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times).

Od p. Zenona D. z Petrozawodzka odebraliśmy rs. 2 dla Biura informacyjnego o nędzy wyjątkowej.

Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincyi lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcyi materiału do kroniki tygodniowej. Materiałem tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. p. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zaręczeniem za jego wiarogodność; korzystanie zaś z takich doniesień, w sposób odpowiedni, będzie już wyłącznie rzeczą redakcyi.

Przegląd piśmienniczy.

Jan Sniadecki. Jego stanowisko w dziejach oświaty i filozofii w Polsce, przez D-ra *Maurycygo Straszewskiego*. Kraków, 1875. Str. 323 tekstu i LXXVI dodatków. 8-ka. (*)

Cudzoziemcy mają o swoich znakomitych pisarzach nietylko wyczerpujące własne studia, ale, dzięki pracom postronnych uczonych, bogatą literaturę, odnoszącą się wyłącznie do danego przedmiotu. Dość tu wspomnieć o *Macchiavellu* i *Szekspirze*. Dzieła i artykuły odnoszące się do tych dwóch pisarzy, złożyłyby wcale pokazną bibliotekę. My bardzo mało dbamy o swoich znakomitych autorów i uczonych, chociaż monografie, poświęcone wykazaniu zasług naukowych i obywatelskich duchowych ojców narodu, stanowią bardzo wdzięczną pracę dla piszącego i najlepszy pomnik, jaki im wystawić można. Do ludzi znakomitych, a zdaniem naszym nawet najznakomitszych pod obu względami, to jest nauki i ducha obywatelskiego, należy *Jan Sniadecki*. Monografią o nim wzięliśmy tedy do ręki z całą życzliwością, i z niej to chcemy zdać sprawę.

P. Straszewski zaczyna swoją książkę o *Sniadeckim* od tego, że dotychczas nie poznano się u nas na tym sławnym uczonym, że wszyscy co o nim krócej lub obszerniej pisali,

(*) Jakkolwiek z innego stanowiska zapatrujemy się na niektóre punkta rozebranego tu przedmiotu, zgadzamy się jednak z szanownym autorem recenzji na to, że głównej zasługi *Jana Sniadeckiego* nie należy szukać w jego pracach filozoficznych, i dlatego chętnie artykuł niniejszy drukujemy. (Przypisek redakcyjny.)

Rysunki humorystyczne

Franciszka Kostrzewskiego.



Złudzenie optyczne.

326

Dama. Czy sama pani?...

Gospodyni. Tak jest. A co pani rozkaże?

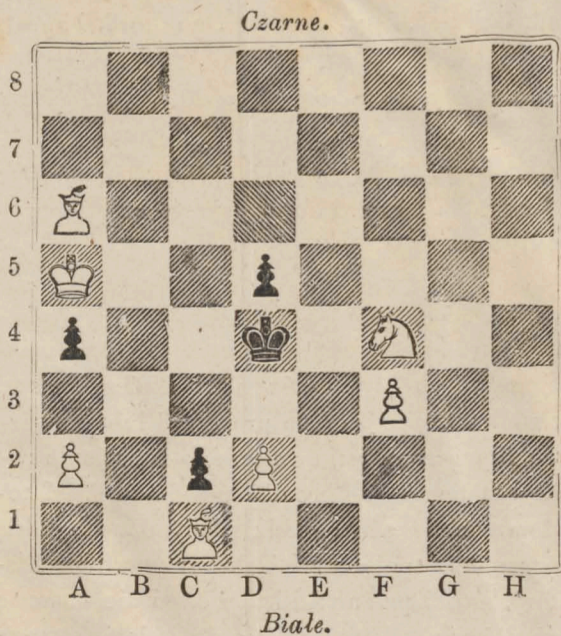
Dama. Podobno pani potrzebuje młodszej?

Gospodyni. Tak pani. Zapewne pani z rekomendacją.

Dama. Nie, właśnie chciałam się dowiedzieć, bo to ja sama osobiście szukam obowiązku.

ZADANIE XLIV.

Białe zaczynają i dają matę za 3 posunięciami.



Rozwiązanie zadania szachowego nr. 43.

Białe.

Czarne.

- 1) C8—E7 . . . 1) B3—E6.
- 2) A6—E6 biorą † 2) F7—E6 biorą.
- 3) G5—E4 . . . 3) C5—B4 biorą.
- 4) D3—D4 biorą † i mat.

KALENDARZ

HUMORYSTYCZNY-ILLUSTROWANY
„MUCHY”
dla porządných ludzi
NA ROK 1877.

Opracowany przy spółdziale wszystkich prawie naszych humorystów; ozdobiony 75 rysunkami: *Andriollego*, *Kostrzewskiego*, *Szymanowskiego*, *Szwojnickiego*, *Głębockiego*, *Paprockiego* i *Mucharskiego*.

Objętości 14 arkuszy druku.

Opuścił prasę i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

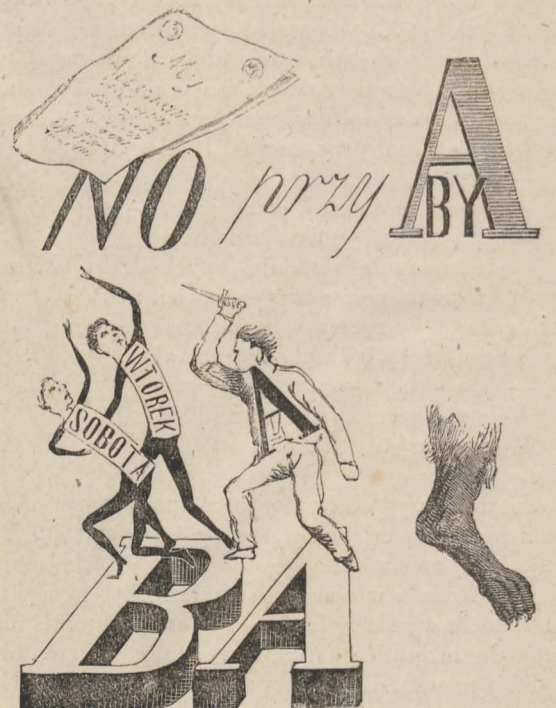
po cenie kop. 50,

z przesyłką do miejscowości królestwa icesarstwa kop. 60.

Adres: *Józef Unger*, *Nowolipki*, nr 2406 (nowy 3).

REBUS.

327



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 52. Niejeden udaje pana, chociaż resztkami goni.



Młodzi Grecy w meczecie. Według obrazu Gerome'a, rysował W. Szerner.



Kopia gobelinowa krajobrazu Comte'a, wykonana w fabryce gobelinów w St. Maur, pod Paryżem.

(Das häussliche Leben in Frankreich, aus dem Englischen von H. Scheube). Wchodzi on w najdrobniejsze szczegóły (na przykład o kuchni mówiąc) i jest wielce nauczającym. Pogląd sprawiedliwy, bez uprzedzenia, odsłania nam rzeczywistość Francją, nie tę, którąśmy nawykli widywać w konwencyonalnych felietonach stolicy. Przekonano teraz Balzaca, że on swój wielki świat paryżki improwizował, nie znając go wcale. Tak samo dowcipni paryżcy figarzyści komponują obrazy kraju, którego także ledwie częstą, i to ze złe obranego punktu widzenia, poznali. Angielski wizerunek, żywego wzięty, wcale inaczej wygląda i tłumaczy nam zakrytymi dotąd przymiotami Francuzów ich wielką żywotność i siłę wewnętrzną społeczności. W Niemczech książka ta wywołuje zdumienie i obudza niemal chęć naśladowania wielu przymiotów i obyczajów.

Zajmujące są zarysy z życia Thorwaldsena, tłumaczone z duńskiego M. Hammericha, przez Schlössmanna. Obrazek obfituje w szczegóły o artyście. Przypomina się tu wizerunek mistrza, skróślony w ślicznych listach Mendelssohna-Bartholdy, w r. 1830. Píše o Thorwaldsenie: „Człowiek to jak lew — aż mi rzeźwięj gdy twarz jego zobaczę. Odrązu w nim czuć, że to być musi wielki poeta; z oczu mu tak patrzy jasno, iż widać że w nim wszystko się musi ubierać w określone kształty i obrazy. Przymiotem zarazem słodki jest, przyjacielski, łagodny, chociaż stoi tak wysoko, a najmniejsza rzecz zajmuje go i bawi. Prawdziwa to rozkosz dla mnie, widzieć wielkiego męża i myśleć, że ten twórca dzieł które pozostaną nieśmiertelnymi — jest ot tak sobie człowiekiem nam podobnym.“

W życiu w istocie Thorwaldsen był bardzo prostym i niewymagającym; jadał skromnie, ubierał się podobnie. W Rzymie mu było najdogodniej, bo tu artysta urządza sobie tryb życia jak sam chce i nikogo to nie razi. Thorwaldsen mógł, nie zwracając na siebie uwagi, codziennie w starej granatowej przyodziewce, z psem swym ogromnym i kawałkiem gliny, którą zwykł był mieć w ręku, iść do pracowni pieszo i wracać. Chociaż zamożny, koni nie trzymał, służbę miał nieliczną, mieszkał w najętym lokalu i najczęściej sam sobie posługiwał. Wieczory spędzał albo w wielkim świecie, szczególnie gdy się mógł spodziewać dobrej muzyki, albo w małej „osteryi“, z fajeczką w ustach, w koszuli, najczęściej w ogródku, z towarzystwem swych współziomków. W wigilią Bożego narodzenia zwykł był ich u siebie przyjmować. Trafiło się go spotykać w powrocie z urzędowej wizyty, we fraku okrytym orderami, z faszka mleka, po które sam wstąpił. Ryż także, który na wigilią być musiał, on sam przygotowywał i sam go ogromną łyżką rozdawał.

Zbiórał trąskliwie starożytności, ale własne rysunki i szkice rozrzucił, wcale do nich nie przywiązuąc wartości. Po śmierci mnóstwo się znalazło, nawet w śmieciach, po kieszeniach sukien i we wszystkich kątach.

Bardzo wdzięczną znajdujemy tu anegdotę o nim i o Vernecie. Gdy ten ostatni miał opuścić Rzym, wszyscy jego przyjaciele, współziomkowie, artyści dawali dlań pożegnalną ucztę. Znajdował się na niej Robert Peel, a Vernet siedział między Thorwaldsenem i Cornelusem. Za nimi stało popiersie Verneta, w wienku laurowym. Przemawiał do niego Cornelius i w końcu mowy, zdjąwszy wieniec z popiersia, włożył go na głowę artysty. Horacy Vernet zdjął go szybko.

— W obecności Thorwaldsena, rzekł, nikt nie ma prawa do tego wienca, tylko on!

I na srebrzyste włosy starca go złożył... Trzęsła się sala od okłasków... Ze skromnością i spokojem przyjął Thorwaldsen ten hołd mu należny.

Ostatnią tegoroczną korespondencją nie wiem prawdziwie czém zakończyć. Przychodzą nam na myśl wszyscy drodzy zmarli nasi, którzy w ciągu tego lata na lepsze przeszli światy! Fredro, Bieliowski, dr. Skobel, tylu innych, mniej nam znanych, ale niemniej wspomnienia godnych. Rzućmy wieniec na ich mogiły! Ci już spoczywają,

a, jak Goethe w tym ślicznym swym urywku wyśpiewał: „Czekajcie trochę, i wy spoczniecie wkrótce!“ Tak, niemal smutne jakieś przecucie powiada nam, że czas wkrótce spocząć będzie i umilknąć. Nowe pokolenia, pojęcia, świat nowy. Ludzie inni nadchodzą, aby nas starych zastąpić i prześcignąć. I tak być powinno — myśmy tą drabiną mistyczną ku niebiosom, zmuszeni jedni drugim wspinać się po głowach i barkach — coraz wyżej! wyżej! wyżej!... Niech więc nas zgniotą ci, co się wspinać powinni, lecz niech dążą do góry! Niech rok ten przyniesie nam conajwięcej nowych sił, nowych talentów, a nadewszystko... poczucia obowiązków i w pracy wytrwałości. Amen.

W KOŚCIELE.

W światłości kraj cudowny
Pobożna myśl skrzydlata,
Po słodkich psalmu tonach,
W obłokach woni wzłata.
Świątynia pełna światła,
Modlitwy i nadziei;
W ołtarzu wielkim Chrystus,
A niżej *Agnus Dei*.
A dalej lud na klęczkach,
Co ochrzczon jest i wierzy,
I jako wietrzyk w gaju
Szeleści szmer pacierzy...

O Panie! — czcić Cię pragniem
Jak chcesz i jak kazałeś,
Gdyś nas do życia budził,
Czy takiej chwały chciałeś?
Czy człowiek, z dzieci ziemi
Najmędrszy Twój wielbiel,
Ten kwiat jęj twórczej siły,
Ten żywych przedstawiciel,
Potrafił czcić Cię czynem?
Czy bytu cel zrozumiał
I został czém Ty chciałeś
I myśl Twą pojąć umiał?

On, słaby, wąty, drobny
Przed Twoich dzieł wielkością,
Miał wznieść się uwielbieniem,
Spotężnion być miłością;
On, kapłan w dziejach ziemi,
Miał odkryć prawdy księgę
I w stutysięcznej piersi
Miał odczuć Twą potęgę,
I stutysięczne oczy
Ku chwale Twojej zwrócić,
I milionem głosów
„Hosanna“ Tobie nucić.

Czém on jest dziś?... O Panie!
Jak gady pełzną w pyle,
Jednostek naszych nędzą
Błuzniony Twojej sile;
Błuzniony wtedy nawet,
Gdy dzieje tajemnicze
Arcydzieł Twój potęgi
Odsłonią Twe oblicze;
Gdy każdy nędznych żądań
Jak pajak snuje siatki
I zawiść różni dzieci
Na świętym łonie matki...
Jak fala mórz wieczności
Nadpływa wiek za wiekiem
I darmo czeka wszechświat,
By człowiek był człowiekiem.

O! nie jest on człowiekiem;
On sam zabija siebie
I obcą dlań jest miłość
I obcą myśl o niebie...
On cierpi. Widzi bowiem
Iż stanął na granicy
W ostatnim dniu stworzenia,
W przeznaczeń tajemnicy;
I w piersi własnej czuje

To parcie wyższej woli
Ku celom nieskończonym
I własny stan go boli...

O, kiedyż pojmie człowiek
Czém wielkość jest prawdziwa,
Że wszyscy tworzym całość,
Gdzie Boża myśl spoczywa;
Że morze jest olbrzymem,
Bo wielkie łączy wody;
Że w pojednaniu tylko
Potężne są narody;
Ze sojusz wiecznej ciszy,
W Chrystusie zjednoczenie,
To osiągnięcie celu
I w Bóstwo przemienienie?...

O kiedyż dzień niebieski
Odwieczny mrok rozświeci?
Przestaną matki płakać
Nad przyszłym losem dzieci?
O kiedyż żal i boleść
Dla wszystkich będą święte,
Bezpieczne niewiniątka
I matki uśmiechnięte?
I będziem czcić niedolę,
Ubóstwo, starość biedną,
I kiedyż z milionów
Zbudujem całość jedną?
Tak jedną — jako wysła
Przed wieki z Twórcy łona,
Jak Trójca nierozdzielna,
W olbrzyma zjednoczona.
I gdy już dla narodu
Nie będzie naród wrogiem,
O wtedy godnie może
Rozmawiać będziem z Bogiem...

W światłości kraj cudowny
Pobożna myśl skrzydlata,
Po słodkich psalmu tonach,
W obłokach woni wzłata.
Świątynia pełna światła,
Modlitwy i nadziei;
W ołtarzu wielkim Chrystus,
A niżej *Agnus Dei*.
A dalej lud na klęczkach,
Co ochrzczon jest i wierzy,
I jako wietrzyk w gaju
Szeleści szmer pacierzy...

O usłysz! — usłysz Panie
Wołanie Twoich dzieci!
Pokoju biały anioł
Niech w naszą otchłań zleci;
Niech uczy nas się modlić
Wprzód czynem, niż ustami
I niech Twój sztandar biały
Promieni się nad nami...

Adela Konieczna (Hanicka).

Rozmaitości.

Początek herbów w Polsce.

Pomiędzy innymi wiadomościami, które obejmuje wydany niedawno drugi tom „Starodawnych prawa polskiego pomników“ A. Z. Helcla, znajdują się także nader liczne objaśnienia początku herbów w Polsce.

Dużo i różnie pisano już o ich pochodzeniu. Jedni utrzymywali, że są niemiecko-czeską średniowieczną spuścizną, drudzy że miejscową. Już w XVI wieku Bartosz Paprocki, chociaż należycie wszystkiego nie objaśnił, najbliższym jednak był prawdy; lecz potem całą sprawę zagmatwano i trudno już było trafić do ładu. Zadzierzgniętego węzła nie rozwiązał nawet Lelewel, Szajnocha zaś jeszcze bardziej go splątał, swojemi poetycznymi o szlachcie i jej herbach mrzonkami. Nie chciano wierzyć W. A. Maciejowskiemu, który we wszystkich swoich dziełach przekonywał o gminnym

ich początku, dowodząc iż naturą swoją i całą historią różnią się niezmiernie od zachodnich i inne też mają znaczenie.

Według niego prastare nasze rody, plemiona i gminy, zawiązując się w towarzystwo społeczne, obierały upodobane hasła, z których jedno było słowne, drugie obrazowe, by po nich, wołając na siebie, poznawały się w potrzebie. Pierwsze zwano *zawołaniem*, drugie *godłem*. Godło zwano także *szczytem* i *klejnotem*, a nakoniec, gdy niemieckie urzędnictwo przyjęło, zamianowano je *herbem*.

Gminy pierwotne, z osobna każda stanowiąc ciało polityczne, miały pewne umówione słowa, po których się nawoływały i gromadników swoich poznawały. W czasie potrzeby tym słowem wołał znajdujący się w niebezpieczeństwie gromadnik na spółobywateli, by mu niesli pomoc, i czyto zrodzony był w gminie, czy przybrany od niej za członka, nosił swe imię od jej godła, w czasie pokoju i wojny.

Zważając przeto, że u żadnego europejskiego ludu niema tego rodzaju zawołań w takim jak u nas znaczeniu, wypada wniosek oczywisty, iż zawołania znajome z rycerskich godeł nie przybyły nam z zagranicy wraz z godłami, lecz owszem, istniejąc u nas od czasów niepamiętnych, zostały z rycerstwem zespolone.

Gdy z czasem gminy staropolskie przestały stanowić polityczne ciało, a własność ich przeszła na prywatnych, wtedy pozostały przy samych tylko powiatach i ziemiach znaki chorągiewne, godła zaś gromadzkie, to jest zawołania, przeniosły się na dwory rycerskie i z powszechnych stawszy się rodzinnymi znakami, najprzód toż samo co niegdyś, następnie zaś zupełnie inne uzyskały przeznaczenie. Jednym słowem gromadzkie godła zastąpione zostały przez rycerskie znaki i stopniowo jedne po drugich przeistoczyły się najprzód w szczyty, następnie w herby.

Otóż że tak było prawie dosłownie i że Maciejowski miał słuszność, przekonywają niepodejrzane akta sądowe z XIV i XV wieku, gdzie mnóstwo jest szczegółów, tłumaczących co znaczył jeszcze wtedy *klejnot* czyli herb, a *zawołanie* czyli *godło* i t. p. Widziemy tam osoby pod jednym zawołaniem tworzą pomiędzy sobą rodzaj

braterstwa i uważają się za krewnych. Ztąd ustaliła się właściwa tylko heraldyce polskiej *spółność herbowa*, zadziwiająca heraldyków zagranicznych. Na mocy tej spółności wszyscy członkowie kilku, kilkunastu, czasem nawet kilkudziesięciu domów jednego herbu pocztywali się za krewnych, czyli „stryjców herbowych,” a koligacąc się z innymi herbami, rozpościerali coraz szersze związki rodzinne. Cały kraj okryty był nieprzejrzaną siecią braterstwa, a mieszkańcy stali się rodzinami krewnych. Kardynalne zasady instytucyj społecznych przechodzą z wieku do wieku, od narodu do narodu, i niema ludu żadnego, któryby w tej mierze zupełnie był samorodnym. Ztąd oryginalność polega głównie na tém, co który naród umiał zrobić z przejętego z kądinąd zarodu cywilizacyi. Pod tym zaś względem gdzież odzyskamy drugie zjawisko historyczne, któreby mierzyć się mogło ze wspaniałością obrazu, jaki przedstawiał światu dawny ustroj naszego kraju? „Mam tylu krewnych, mawiał biskup Powała, że niema prawie żyjącego dzisiaj rodaka, któryby nie był mi krewniakiem.” Takie braterstwo znajdujemy w dawnych urządzeniach gminnych i w miastach, w zgromadzeniach rzemieślniczych, kupieckich i przemysłowych, pod jednym znamieniem (cechem) zostających i takież było u szlachty. Otóż o tej ostatniej mnóstwo dowodów dostarcza drugi tom „Starodawnych prawa polskiego pomników,” zwłaszcza przy sprawach, których rzecz szła o wywód szlachectwa, prawowitość rodu i posiadania. Było albowiem właściwością ówczesnego prawa, że szlachectwo dowodziło się albo trzema pokoleniami rodu, albo rycerskiego prawa używalnością. Kto o to, że ani szlachcicem, ani rycerzem nie jest, pomówiony został, ten, stawiając przed sądem krajowym dwóch świadków po ojcu i dwóch po matce, dowodził, że albo oba te prawa, albo jedno przynajmniej posiada. Stawieni świadkowie winni byli stwierdzić pod przysięgą, jako posadzony wiedzie swój początek z ich domu, to jest pokolenia i plemienia, czyli, jak się ówczesne akta urzędowe wyrażają: że z ich rodu, klejnotu i zawołania pochodzi i jest ich bratem.

Dużo podobnych spraw dostarczają wyciągi Helcla. Dla przykładu przytaczamy kilka.

W r. 1398 niejaki Dambek, posadzony o niesłuszne przywłaszczenie sobie szlachectwa, postawił prawem przepisanych świadków, którzy zeznali te słowa, w języku polskim przywiedzione: *Tako nam Bóg pomoże i święty krzyż, jako prawnie wiemy, iż Dambek jest nasz brat, naszego zawołania i naszej krwi* (str. 54).

Następny wyciąg objaśnia cały tok spraw tego rodzaju.

W roku 1432, z rozkazania królewskiego, Łukasz Waldorf, mieszczanin krakowski, dziedzic Kaźmirza, posadzony przez Piotra Łapkę, że był chłopem, stawił przed sądem świadków szlachty dwóch, którzy przysięgli przed Bogiem i krzyżem świętym, jako Waldorf jest ich bratem i pokrewnym po ojcu, z herbu trzy kręsy białe i trzy czarne, zawołania Nabry. Innych dwóch że jest takim ze swęj matki, herbu Biberstein, zawołania Momot. Także dwóch po dziadku z herbu Krzywasy, zawołania Drużyna. Nakoniec stawało jeszcze wiele szlachty z obcych rozmaitych herbów i ci zeznali, iż wiedzą i znają Waldorfa człowiekiem *dobrym* z ojca i matki (*bonus homo a patre et matre*) (str. 375).

Z innych wyciągów jasno widać, że co innego zupełnie znaczył klejnot, herb, a co innego zawołanie, inaczéj zwane godło. To ostatnie najlepiej mamy objaśnione w sprawie z r. 1432, w której obwiniony przywoził, iż przeciwnik nie należał do zawołania ziemi i nie był w niej zapisany: *de terra prodamatus et proscriptus*. Tamten zaś utrzymywał, iż jest do niej wwołany (*in terram inclamatus, alias wwołan*) (str. 572).

Do jakiego zaś użytku służyło zawołanie, przekonywa sprawa z r. 1482, w której wprowadzający przedstawia, jako gdy stał się napad, przez obwinionego uczynione było zawołanie czyli godło, na owo zawołanie zbiegli się ludzie itd. *et proclamatio, alias godło, facta est per homines. Ad quam proclamationem nos cucurrimus etc* (str. 844).

F. M. S.

K O N I E C R O K U 1 8 7 6.

Biblioteka Wróblewskich.

Nr 1291

Lit.

Dział

Półka

A 071

LIETUVOS MOKSLU
AKADEMIJOS BIBLIOTEKA



002 00250855 3

Lietuvos Mokslų Akademijos
BIBLIOTEKA
P3130
T. 2 1876